Jednota

5
1965

W NUMERZE M. IN.

ZŁO
NIE BĘDZIE MIAŁO
OSTATNIEGO SŁOWA

NIGDY
NIE ZAPOMNIMY TEGO,
CO DLA NAS
UCZYNILI POLACY

TRAGICZNA KRAINA

EKUMENICZNY ASPEKT
TEILHARDYZMU

MODLITWA I ŻYCIE

DROGA TOMASZA

Matkom
całego świata
w dniu ich Święta.

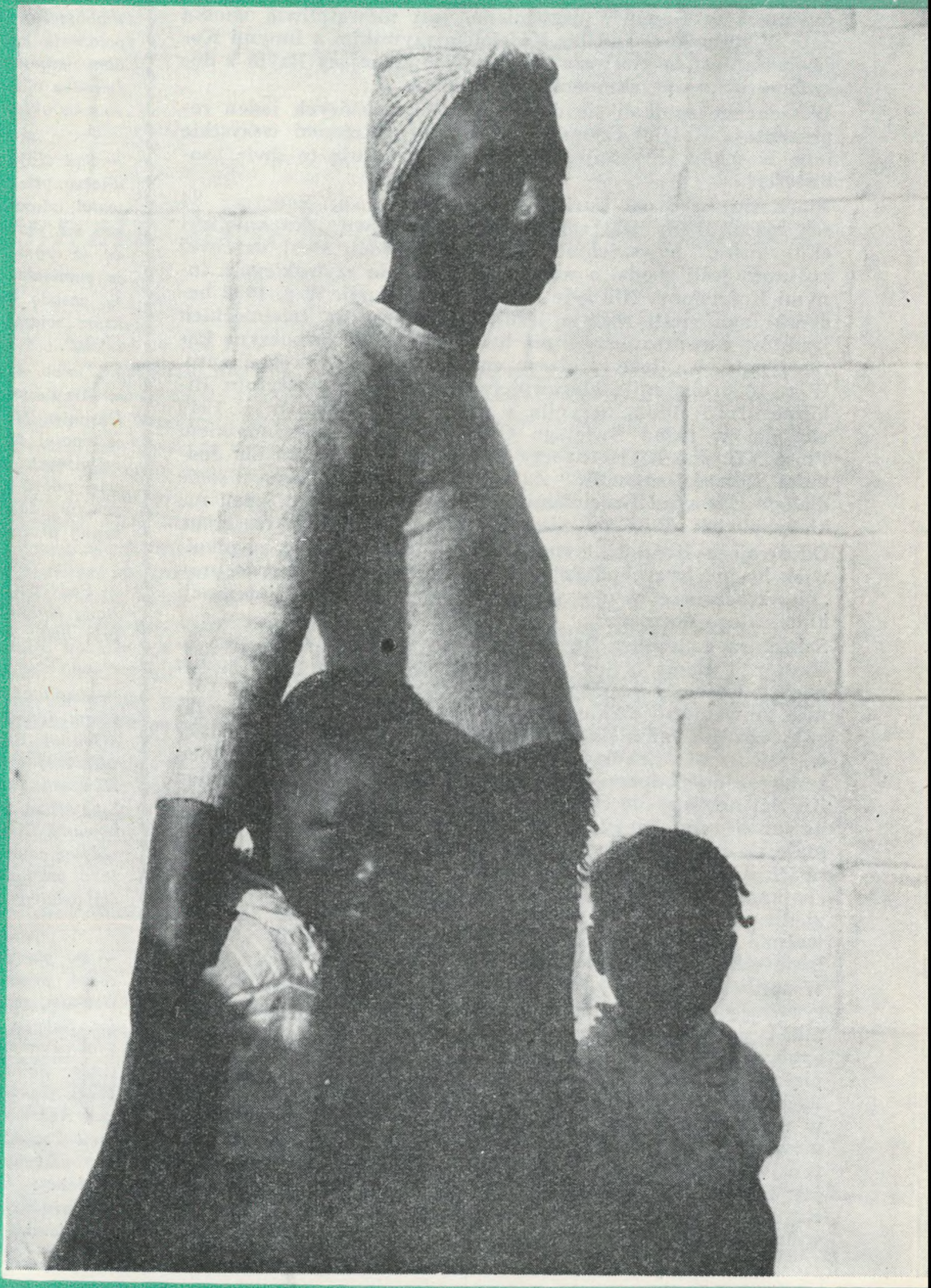

PISMO RELIGIJNO - SPOŁECZNE

Ważna data Ekumeniczna

Na dorocznym posiedzeniu Komitetu Centralnego Światowej Rady Kościołów, które się odbyło w br. w Enugu (Nigeria) postanowiono powołać do życia mieszaną komisję, do której miałoby wejść 8 przedstawicieli Rady Ekumenicznej i 6 przedstawicieli Kościoła rzymskokatolickiego. Celem komisji miałoby być szukanie metod i zasad międzykościelnej współpracy. Kardynał Bea złożył oficjalną wizytę sekretarzowi generalnemu Światowej Rady Kościołów w Genewie i powiadomił go, że Watykan powyższą propozycję akceptuje.

To, co w Enugu zostało zaproponowane, w Rzymie zaakceptowane i w Genewie uzgodnione, jest niewątpliwie wielką datą w stosunkach między Kościołem rzymskim a innymi Kościołami. Jest to pierwszy krok, wyprowadzający Rzym z dotychczasowej antyekumenicznej izolacji.

W Genewie spotkali się dwaj mężowie, z których jeden reprezentuje Kościół rzymskokatolicki, drugi niemal wszystkie inne Kościoły chrześcijańskie. Co reprezentują te dwie osobistości?

Niemiecki kardynał kurialny Augustyn Bea, kończący 84 rok życia, znany jest całemu chrześcijaństwu jako katolicki ekumenista, powszechnie ceniony z powodu swej uczciwej postawy, jeśli chodzi o współpracę Kościoła rzymskiego z innymi Kościołami. Nie żyje on w świecie iluzji. W r. 1902 badeński syn cieśli zostaje jezuitą holenderskim (niemieckich jezuitów wówczas jeszcze nie było), w r. 1917 rozpoczyna karierę naukową jako profesor egzegezy Starego Testamentu. W r. 1930 obejmuje kierownictwo papieskiego Instytutu Biblijnego. To Biblia uczyniła z niego ekumenistę. W r. 1949 wchodzi w skład Świętego Officium. Był spowiednikiem Piusa XII. Jan XXIII tworzy dla niego „Sekretariat dla Jedności Chrześcijaństwa". Zdaniem kardynała, prowadzenie dialogu z innymi Kościołami jest rzeczą konieczną, jeżeli ma kiedykolwiek dojść do zjednoczenia wszystkich chrześcijan. Od swojego Kościoła wymaga, aby „uznał prawdę, skądkolwiek by ona przychodziła", ale jednocześnie stoi twardo przy „niewzruszoności swojej własnej wiary i absolutnej integracji katolickiego dogmatu".

Sekretarz generalny Światowej Rady Kościołów, Dr W. A. Viesser 't Hooft, nigdy nie bagatelizował istniejących różnic między Kościołami. „Nie wiemy, w jaki sposób możemy różnice zniwelować. Ekumenizm nie bazuje na wrażeniu, jakoby różnice już się zacierały. Rada Ekumeniczna nie dąży do stworzenia „nadkościoła" i żaden Kościół nie powinien zmierzać do podporządkowania sobie innego Kościoła. Żaden Kościół należący do Światowej Rady Ekumenicznej nie myśli nawet o tym, ażeby uznać zwierzchnictwo papieża." Obaj mężowie reprezentują inne zrozumienie istoty Kościoła, różne są ich drogi do zamierzonej jedności chrześcijaństwa. Co dało spotkanie ich w Genewie? Jeśli chodzi o postęp w kierunku zjednoczenia chrześcijaństwa, bardzo niewiele, ale jeśli się weźmie pod uwagę dotychczasową absencję Rzymu w działaniu ekumenicznym, bardzo wiele.

W sprawach dogmatycznych, czyli w sprawach wiary, nie zarysowują się nawet możliwości rychłego zjednoczenia, natomiast już możliwa jest współpraca w dziedzinach praktycznych, a więc na polu charytatywnym i społecznym. Ale i tu piętrzą się jeszcze przeszkody, które muszą być najpierw usunięte. Rzym wciąż jeszcze nie wypowiedział się jasno w sprawie wolności religijnej, sytuacja mniejszości wyznaniowych w tzw. krajach katolickich jest ciężka. Sprawa małżeństw mieszanych, sprawa misji i prozelityzmu domaga się jak najszybszego uregulowania. Jedno jest ważne. Zarówno Rzym jak i Genewa zdają sobie sprawę z tego, że z załatwieniem tych problemów nie można zbyt długo czekać.

W kilku WIERSZACH

— W niedzielę, dnia 25 kwietnia b.r., po uroczystym nabożeństwie w kościele św. Trójcy w Warszawie, odprawionym przez ks. biskupa Andrzeja Wantułę, przy współudziale gości zagranicznych i miejscowego proboszcza, odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod dom administracyjny Centralnego Ośrodka Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

*

— Sąd Najwyższy w Stanach Zjednoczonych orzekł, że każdy obywatel, odmawiający służenia w wojsku ma prawo się powołać na zasadę, iż czyni to ze względu na swoje sumienie. Dotychczas stosowano tę zasadę jedynie do tych osób, które wierzą w istnienie „wyższej istoty".

*

— Arcybiskup katolicki Madrytu, Casimiro Marcillo Gonzales, usunął w swojej diecezji podział czynności religijnych na klasy. Nie będzie więc odtąd ślubów, chrztów i nabożeństw żałobnych uroczystych i mniej uroczystych.

*

— Pod patronatem nowopowstałej Rady Kościołów na Filipinach działają dwie nowe radiostacje.

*

— Anglikańscy, rzymskokatoliccy i inni duchowni, a także świeccy w Wielkiej Brytanii uczestniczyli we wspólnej pielgrzymce z Hemel Hemstead do katedry św. Albana. Św. Alban został w r. 305 ukamionowany. Chrześcijanie angielscy, bez różnicy wyznania, czczą św. Albana jako pierwszego męczennika chrześcijańskiego na ziemi brytyjskiej.

*

— Po głowie św. Andrzeja, zwróconej przez Rzym prawosławnym Grekom, przyszła kolej na relikwie św. Sabasa, które mają wrócić do prawosławnego klasztoru w Jerozolimie. Są to gesty, świadczące o chęci poprawienia stosunków między Kościołem rzymskim a Kościołami wschodnimi. Świat protestancki, odrzucający ze względów pryncypialnych kult relikwi, obserwuje tego rodzaju gesty z mieszanymi uczuciami.

Jednota

ROK VIII (XXII) Nr 5

Warszawa Maj 1965

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

dr Martin Luther KING

ZŁO NIE BĘDZIE MIAŁO OSTATNIEGO SŁOWA

Zło nie może trwać bez końca. Dlatego właśnie Izraelici, po długiej i ciężkiej walce przechodzą, dzięki Bożej opatrzności, przez Morze Czerwone. Egipcjanie, rozpaczliwie usiłując przeszkodzić Izraelitom w ucieczce, w pogoni za nim rzucili swą armię do morza, a gdy tylko tam wkroczyli, podzielone wody zamknęli się i wszyscy zatonęli. Izraelici odwróciwszy się, ujrzeli już tylko nieszczęsne ciała utopionych, wyrzucone tu i ówdzie na brzeg. Dla Izraelitów była to ważna chwila, oznaczająca koniec strasznego okresu w ich historii: radosny poranek, który położył kres długiej niewoli. Sens tej historii nie polega na zatopieniu żołnierzy egipskich, bo nikt nie może się cieszyć ze śmierci, czy klęski jakiejkolwiek ludzkiej istoty. Historia ta symbolizuje śmierć zła, śmierć nieludzkich prześladowań i niesprawiedliwego wyzysku.

Śmierć Egipcjan na morskim wybrzeżu jest uderzającym przykładem, że nawet sama natura wspomaga dobro w jego ustawicznej walce ze złem. Nowy Testament słusznie stwierdza, że „WSZELKIE KARANIE, W CZASIE TRWANIA, WYDAJE SIĘ NIE RADOŚCIĄ, ALE SMUTKIEM, LECZ POTEM PRZYNOSI SPOKOJNY OWOC SPRAWIEDLIWOŚCI..."

Nasz Egipt

Segregacja rasowa, wprowadzona decyzją Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych w 1896 roku, była nową formą niewolnictwa, zamaskowaną proceduralnym mędrkowaniem. W wielkiej walce ostatniego półwiecza, toczącej się między siłami sprawiedliwości, dążącymi do położenia kresu niegodnemu systemowi segregacji, a siłami niesprawiedliwości, dążącymi do utrzymania tego systemu, „faraonowie" uciekali się do prawnych manewrów, do ekonomicznych represji, a także do fizycznej przemocy, aby utrzymać Czarnego w Egipcie segregacji rasowej. Mimo cierpliwego nawoływania niejednego Mojżesza, odmawiali pozwolenia na odejście czarnego ludu.

Jesteśmy dzisiaj świadkami kolosalnej zmiany. Dzięki dziewięciu sędziom Sądu Najwyższego dekret, który nabrał światowego rozgłosu, otworzył Morze Czerwone i siły sprawiedliwości kroczą ku drugiemu brzegowi. Sąd anuluje stare prawo Plessy z roku 1896 i stwierdza, że separacyjne prawo publiczne zawiera sprzeczność wewnętrzną, a dziecko podlegające segregacji rasowej pozbawione jest opieki prawa. Decyzja ta jest źródłem wielkiej nadziei dla milionów wydziedziczonych. Spoglądając przed siebie widzimy, jak siły segregacji rasowej giną na brzegu morza. Daleko jeszcze do rozwiązania problemu i gigantyczne góry oporu wznoszą się jeszcze na naszej drodze, tym nie mniej opuściliśmy już Egipt i z postanowieniem cierpliwym, lecz zdecydowanym oczekiwać będziemy Ziemi Obiecanej. Zło pod postacią niesprawiedliwości i wyzysku nie może trwać wiecznie. Przejście przez Morze Czerwone prowadzi w historii ostatecznie do zwycięstwa sił dobra, a zamykające się wody wyrażają sąd i ruinę sił zła.

To wszystko nam przypomina, że zło nosi w sobie zarodek własnej zguby. Zwyciężone dobro jest w szerszej perspektywie mocniejsze od zwycięskiego zła. Historyk, Charles A. Beard, gdy go zapytano, czego nauczyła go znajomość historii, odpowiedział:

„PO PIERWSZE — ŻE BOGOWIE PRZEZ WŁADZĘ PRZYWODZĄ DO SZALEŃSTWA TEGO, KOGO CHCĄ ZGUBIĆ. PO DRUGIE — ŻE MŁYNY BOŻE MIELĄ POWOLI, LECZ DOKŁADNIE. PO TRZECIE — ŻE PSZCZOŁA, ŻERUJĄC NA KWIECIE, ZAPYLA GO. PO CZWARTE — ŻE GDY NOC JEST DOŚĆ CIEMNA, WIDAĆ GWIAZDY."

Oto słowa nie jakiegoś kaznodziei, lecz trzeźwo patrzącego historyka, któremu długie i żmudne studia historyczne ukazały, że zło stacza się ku własnej zagładzie. Może ono trwać długo, lecz kończy się, gdy osiągnie zakreślone mu granice. Istnieje w świecie coś, co mitologia grecka nazwała boginią Nemezis.

Jeszcze nie w Królestwie

Nie możemy jednak ulegać powierzchownemu optymizmowi i wysnuwać wniosków, że koniec jednej złej rzeczy oznacza jednocześnie zgubę całego zła na brzegu morza. Wszelki postęp jest względny i rozwiązanie jednego problemu stawia nas wobec następnego. Uniwersalna rzeczywistość, Królestwo Boże, jeszcze nie nastąpiła. Ponieważ grzech istnieje w każdej sferze ludzkiej egzystencji, po upadku jednej tyranii, pojawia się nowa.

Podobnie jak musimy unikać powierzchownego optymizmu, tak musimy w równej mierze strzec się paraliżującego pesymizmu. Chociaż wszelki postęp jest względny, postęp społeczny może się dokonać w pewnych granicach. Moralna pielgrzymka człowieka nigdy na ziemi nie osiągnie końcowego przeznaczenia, lecz bezustanne wysiłki mogą go przybliżyć do stolicy sprawiedliwości. Chociaż więc Królestwo Boże jeszcze nie może w historii przybrać postaci rzeczywistości, to może ono ujawnić się już obecnie w poszczególnych formach, takich jak: sąd, osobiste zaangażowanie, albo sposób życia pewnych grup. „KRÓLESTWO BOŻE JEST POŚRÓD WAS" (Łuk. 17:21).

Musimy też pamiętać, że Bóg w swoim wszechświecie działa. Nie jest poza światem i nie spogląda z daleka z rodzajem chłodnej obojętności. Na wszystkich drogach życia nasza walka jest Jego walką. Działa On w historii dla zbawienia swych dzieci, jak zawsze kochający Ojciec. Kiedy walczymy przeciw siłom zła, Pan wszechświata walczy wraz z nami. Zło ginie na brzegu morza nie tylko dlatego, że człowiek nieustannie z nim walczy, ale przede wszystkim dlatego, że Bóg ma moc zadać mu śmiertelny cios.

Dlaczego Bóg zwleka?

Dlaczego jednak Bóg tak zwleka z pokonaniem mocy zła? Dlaczego Bóg pozwolił Hitlerowi wyniszczyć 6 milionów Żydów? Dlaczego Bóg pozwolił, by niewolnictwo trwało w Ameryce przez 244 lata? Dlaczego Bóg pozwala krwawym bandom swobodnie lynczować czarnych mężczyzn i kobiety i dla wybryków topić czarnych chłopców i dziewczęta? Dlaczego Bóg nie wkracza, by przerwać przewrotne plany niegodziwców?

Nie śmiem twierdzić, że rozumiem wszystkie drogi Boże i Jego kalendarz walki ze złem. Możliwe, że gdyby zajął się złem w sposób tak druzgocący, jak byśmy tego pragnęli, zniweczyłby tym samym swój ostateczny zamysł. Jesteśmy istotami odpowiedzialnymi, a nie ślepymi automatami, jesteśmy osobami, a nie robotami. Obdarzając nas wolnością, Bóg wyrzekł się części swej własnej najwyższej władzy i zakreślił sobie pewne granice. Jeżeli Jego dzieci są wolne, muszą wykonywać swą wolę przy pomocy wolnego wyboru. Bóg nie może więc narzucać swym dzieciom swojej woli i jednocześnie utrzymywać swój ostateczny zamiar przewidziany dla człowieka. Gdyby Bóg, całkowicie korzystając ze zwej wszechmocy, niszczył swoje własne zamierzenia, dowiódłby raczej swej słabości, niż mocy. Prawdziwa potęga bowiem, to zdolność do osiągnięcia celu. Działanie, które hybia celu, jest słabością.

Jeśli Bóg nie chce natychmiast zniszczyć zła, to nie znaczy, że nie czyni nic. My, słabi i ograniczeni ludzie, nie jesteśmy osamotnieni w naszym dążeniu do tryumfu sprawiedliwości. Wyraził to Matthew Arnold pisząc, że istnieje „jakaś trwała moc i ona, a nie my sami, włada sprawiedliwością".

Panie, Boże nasz i Ojcze przez Syna Twego, który stał się nam Bratem! Nawołujesz: nawróćcie się synowie ludzcy! W górę serca! Szukajcie tego, co jest w górze! I oto dzisiaj zgromadziłeś nas wspólnie. Stajemy przed Tobą, każdy z nas, ze swoim życiem, które nie do nas, lecz do Ciebie należy, i całe jest w Twoich rękach; każdy ze swymi małymi i wielkimi grzechami, które tylko Ty możesz przebaczyć; każdy ze swym zmartwieniem, które Ty tylko możesz przemienić w radość, a także z cichą nadzieją, że przecież każdemu chcesz okazać swą wszechmoc, dobroć i łaskę.

Wiemy na pewno, że przez jedno tylko można Ci radość sprawić i chwalić Cię — przez wytrwałą modlitwę o dar Twego Ducha, poważne poszukiwanie Twojej prawdy i ciągłe dążenie do obcowania z Tobą i poddanie się Twemu przewodnictwu. Wiemy jednak, że nawet ta świadomość jest również Twoim dziełem w nas.

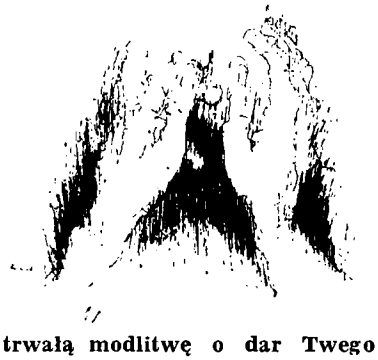

Zbudź nas Panie, a będziemy zbudzeni! Spraw, Panie, aby i w tej chwili wszystko dobrze się darzyło — i nasza modlitwa, i śpiew, przemawianie i słuchanie, nasza uroczystość Wieczerzy Pańskiej. Daj to wszystkim, którzy chcą dzisiaj wspólnie z nami święcić dzień Wniebowstąpienia Pana naszego, Jezusa Chrystusa, daj chorym i tym, którzy żyją w niepokoju, a także tym wielu, wielu ludziom, którzy jeszcze nie poznali, że naprawdę są zniewoleni, chorzy i żyją w niepokoju, a może jeszcze nigdy nie doświadczyli, że jesteś ich Pocieszycielem, Zaufanym i Wybawcą. Pozwól, aby i im i nam zajaśniało światło przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen.

KAROL BARTH

Musimy też pamiętać, że Bóg nie zapomina o swych dzieciach, ofiarach złych mocy. Daje nam wewnętrzne siły do znoszenia trudów i kłopotów życia. Jeżeli otaczają nas ciemności jakiegoś egipskiego ucisku, Bóg sam jest światłem na naszej drodze. On nam daje niezbędną zdolność do przetrwania doświadczeń egipskich, daje nam odwagę i energię do kontynuowania marszu naprzód. Jeżeli przygasa lampa nadziei i jeżeli płomień wiary się chwieje. On pokrzepia nasze dusze i wzmacnia siły. Jest z nami nie tylko w południe wypełnienia oczekiwań, ale i o północy, w godzinie rozpaczy.

Świat ten byłby nie do zniesienia, gdyby Bóg miał tylko jedno światło. Bądźmy spokojni — On ma dwa światła: jedno, przy pomocy którego prowadzi nas w blasku dnia, gdy nasze nadzieje się spełniają, a okoliczności są pomyślne; drugie, przy pomocy którego prowadzi nas wśród mroków nocy, gdy jesteśmy strapieni, kiedy uśpione demony smutku i rozpaczy budzą się w naszej duszy. Według świadectwa psalmisty nigdy nie chodzimy w ciemności:

DOKĄD UJDĘ PRZED DUCHEM TWOIM?
I DOKĄD UCIEKNĘ PRZED OBLICZEM TWOIM?
JEŚLI WSTĄPIĘ DO NIEBA, TY TAM JESTEŚ,
A JEŚLI PRZYGOTUJĘ SOBIE POSŁANIE W KRAINIE UMARŁYCH, OTO TAM JESTEŚ.
(...) A GDYBYM RZEKŁ: NIECH CIEMNOŚĆ MNIE UKRYJE
I NOCĄ STANIE SIĘ ŚWIATŁO WKOŁO MNIE!
TO I CIEMNOŚĆ NIC NIE UKRYJE PRZED TOBĄ,
A NOC JEST JASNA JAK DZIEŃ,
CIEMNOŚĆ DLA CIEBIE JAK ŚWIATŁOŚĆ
(PS. 139:7.11.12)

Ta wiara będzie nas podtrzymywać w naszej walce o wyzwolenie z niewoli całego egipskiego zła. Ta wiara będzie zapaloną lampą dla naszych zmęczonych nóg i światłem na naszej krętej ścieżce. Bez tej wiary najpiękniejsze sny człowieka cicho legną w proch.

TŁUM. W. T.

Będzie błogosławił Pan, Bóg Twój, w każdej sprawie rąk twoich, którą czynić będziesz.

Deut. 14 : 29.

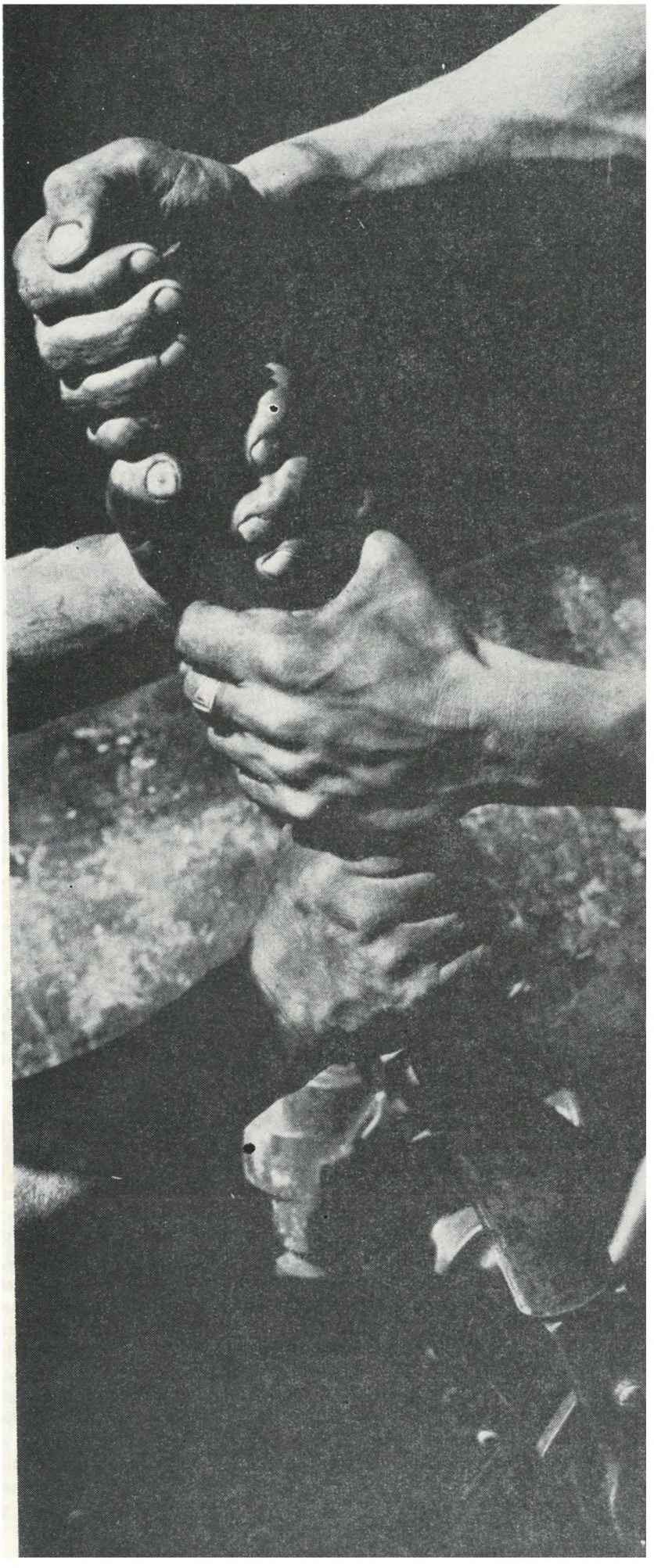

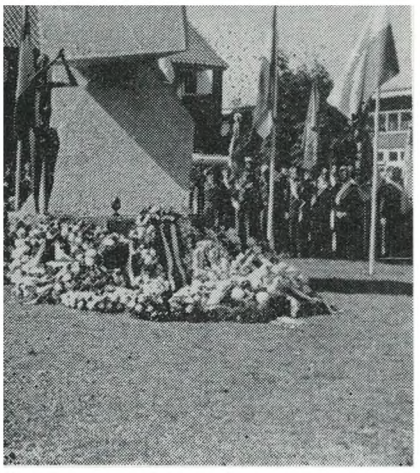

Ks. Zdzisław Tranda

NIGDY NIE ZAPOMNIMY TEGO,

„Nigdy nie zapomnimy tego, co dla nas zrobili Polacy" — te słowa przeczytałem w dzienniku „De Gelderlander", wychodzącym w prowincji holenderskiej Gelderland, której stolicą jest, znane nam Polakom z dramatycznej bitwy jesienią 1944 roku, miasto Arnhem. Te słowa usłyszałem z ust Holendrów, podczas mojej listopadowej wędrówki po ich kraju.

Celem podróży do Holandii było co prawda poznanie tamtejszego Kościoła reformowanego, ale wiedząc o tym, że Polacy odegrali poważną rolę w uwolnieniu ziemi holenderskiej spod okupacji niemieckiej, marzyłem o tym, aby znaleźć się na tych terenach, na których walczyli nasi żołnierze. Udało mi się to. Byłem w Driel, Osterbeek, Bredzie i Axel. Driel i Osterbeek to miejscowości, gdzie walczyli polscy spadochroniarze pod dowództwem gen. Sosabowskiego podczas wspomnianej już bitwy o Arnhem. W Driel, w miejscowej szkole, znajdowała się kwatera dowództwa tej brygady. W uporczywych i ciężkich walkach po obu stronach Renu i podczas dramatycznej przeprawy przez rzekę zginęło około 80 polskich żołnierzy. W Driel znajduje się kilka pamiątek, mówiących z jednej strony o walkach Polaków, a z drugiej — o wdzięcznej pamięci holenderskiego narodu. Jest tam pomnik odsłonięty we wrześniu 1961 roku. W kościele katolickim znajduje się tablica z nazwiskami poległych żołnierzy polskich, a w szkole nieduży witraż, przedstawiający herb brygady polskich spadochroniarzy. Polegli Polacy spoczywają na wspólnym cmentarzu wraz z wszystkimi żołnierzami, którzy zginęli w czasie walk o Arnhem. Cmentarz ten znajduje się w Osterbeek. Polak, zwiedzający to miejsce, doznaje szczególnego wrażenia: zdumienia, rozczarowania i... oburzenia. Polscy żołnierze są bowiem pochowani na lewo i prawo od wejścia na cmentarz, ale... wzdłuż ogrodzenia (!). Dopiero dalej, na wprost wejścia, znajduje się pomnik poświęcony pamięci poległych żołnierzy, a za tym pomnikiem groby żołnierzy angielskich, kanadyjskich, australijskich. Przyczynę tego wyjaśnia mi pani pastorowa z reformowanego zboru w Driel: „Anglicy byli bardzo zazdrośni. Nie chcieli, aby Polacy tam walczyli, nie chcieli, aby byli pochowani na wspólnym cmentarzu, a gdy na interwencję Holendrów zgodzili się i wyznaczyli miejsce przy ogrodzeniu, to wówczas nie przyozdobili nawet grobów polskich tak, jak to uczynili ze swoimi". Ale Holendrzy doprowadzili te groby do takiego wyglądu, jak wszystkie pozostałe. I do dziś o nie dbają. Oto gorycze i radości wspomnień wojennych.

W Arnhem spotkałem dość przypadkowo jednego z byłych żołnierzy, którzy niegdyś walczyli o uwolnienie Holandii, zamieszkałego dziś w Rotterdamie, pana Kowalskiego. W tydzień później zawiózł mnie on z Rotterdamu do Bredy i pokazał znajdujące się tam pamiątki — „polonica". Jedna z ulic, którą wjechały do Bredy polskie oddziały, nosi nazwę „Poolseweg" — Polska Droga, w części bliższej miastu przemianowana we wrześniu 1964 r., w rocznicę wyzwolenia Bredy, na „Generaal Maczekstraat". W parku, u wylotu tej ulicy, znajduje się pomnik — na wysokiej kolumnie kula symbolizująca ziemię, a na niej dwa orły: jeden (niemiecki) leży na grzbiecie, powalony przez polskiego, który szponami i dziobem rozrywa jego ciało. Po drugiej stronie ulicy stoi jeden z czołgów niemieckich, zdobytych przez Polaków. Tablica informuje, że ofiarowany został miastu. W innej części miasta znajduje się duży plac, na którym stanie kiedyś poświęcony Polakom kościół. Na razie stoi tu dzwonnica z mozaiką — wizerunkiem „Czarnej Madonny".

Osobny rozdział — to cmentarze polskich żołnierzy w Bredzie. Niegdyś Polacy polegli w tej okolicy spoczywali na różnych cmentarzach. Dziś, staraniem Polaków zamieszkałych w Holandii i przy współudziale władz holenderskich, założony został w Bredzie jeden wspólny cmentarz, na którym pochowano wszystkich poległych w tej okolicy naszych rodaków. Ładny jest ten skromny i prosty cmentarz. Na głównym miejscu duży krzyż z napisem: „Za waszą i naszą wolność". Z jednego tylko cmentarza w Bredzie nie udało się ekshumować spoczywających tam żołnierzy, bo ksiądz tamtejszej parafii nie zgadza się na to. Powiada: „Oni za nas walczyli, za nas oddali swoje życie, więc do nas należą i my musimy się nimi opiekować". Nie ma siły, która mogłaby go skłonić do zmiany stanowiska. Doprawdy, wzruszająca jest postawa katolickiego księdza z Bredy. Dzięci Ci, Księże-Bracie, za Twoją wierną i wdzięczną pamięć o naszych poległych żołnierzach.

Z Bredy pojechałem przez Vlissingen do Axel. We Vlissingen, ośrodku holenderskiego przemysłu stoczniowego, gdzie poznałem aktywnego członka tamtejszego zboru reformowanego, p. Bogumiła Strenka, naszego rodaka, zanocowałem w hotelu. Nie byłoby w tym nic godnego uwagi, gdyby nie rozmowa z właścicielem hotelu, która również rzuca światło na serdeczną pamięć Holendrów o dniach wyzwolenia. W owym czasie mój rozmówca był młodym chłopcem i mieszkał w Bredzie. Opowiadał mi o radości Holendrów i ich wdzięczności dla Polaków. Po wyzwoleniu Bredy, wszędzie w oknach wystawowych pojawiły się duże nalepki z napisem, który mój rozmówca starał się z trudem po polsku odtworzyć. Wyszło to dość niekształtnie, ale jakże miło: „Dikujemy Wam, Polacy." I przy tych słowach łzy pociekły mu z oczu... A teraz Axel. Stare, liczące niemal 800 lat miasteczko, ewangelicka wyspa wśród katolickiego otoczenia południowej Holandii. Właśnie to miasto przypadło w udziale wyzwalać Polakom. Trzy dni trwał bój o Axel. Holendrzy bardzo pamiętają Polakom to, że w czasie walk starali się możliwie jak najmniej niszczyć. Otaczali, zmuszali Niemców do wycofywania się, ale pragnęli przy tym, o ile tylko było możliwe, jak najmniej rujnować miasto. Dużo tu polskich pamiątek. Przyjeżdża się do tego miasteczka autobusem na plac płk. Zdzisława Szydłowskiego, dowódcy oddziałów, które wyzwoliły Axel. Szczególną miłością i mirem cieszy się tutaj ten polski pułkownik. Żona jego,

CO DLA NAS UCZYNILI POLACY

która zginęła w tragicznym wypadku, gdy mąż wiózł ją z zesłania w Niemczech do Holandii, spoczywa na tamtejszym cmentarzu. Na placu znajduje się pomnik, tzw. „Ławka Szydłowskiego" z jego popiersiem. Na jednym ze skwerów stoi pomnik, przedstawiający padającego i umierającego człowieka, a napis na cokole głosi: „Synom Polski, którzy na tej ziemi oddali swe życie za naszą wolność".

Około 5 km od Axel, tam, gdzie toczyły się najcięższe walki, w miejscu śmierci 25 polskich żołnierzy, podczas przeprawy przez kanał — został wzniesiony wielki, metalowy krzyż, zmontowany z części niemieckiego samolotu. Do miejsca tego zmierza co roku w dzień wyzwolenia pochód mieszkańców Axel, z wieńcami i kwiatami. Główna uroczystość odbywa się przed pomnikiem w Axel, gdzie po złożeniu

wieńców przez burmistrza miasta i przez Polaków holenderskich, dzieci szkolne składają wiązanki kwiatów, które potem tworzą

Dokończenie na str. 16

Autor z pastorem i członkami Kolegium zboru w Axel.

Drodzy Bracia i Siostry!

Ogromnie mi miło, że jestem dziś wśród Was, mieszkańców Axel, i że jestem z Wami właśnie w kościele.) Jestem chyba pierwszym polskim pastorem z Kościoła reformowanego, który odwiedził Wasze miasto, przed 20 laty uwolnione przez moich rodaków spod okupacji niemieckiej.*

W dziejach naszych narodów jest wiele wspólnego, m. in. praca naszego reformatora, Jana Łaskiego, przed 400 laty we Fryzji. Ale i w ostatnich dziesiątkach lat jednakie przeżycia związały nasze narody: wspólne cierpienia podczas okupacji a potem wyzwolenie części Holandii przez polskich żołnierzy. Ogromnie mnie wzrusza, gdy poza granicami mojej ojczyzny zwiedzam miejscowości, gdzie tyle jest pamiątek z walk Polaków o wolność. Ale jeszcze bardziej mnie wzrusza, gdy widzę serdeczność Holendrów i gdy nieraz słyszę słowa: „Nigdy nie zapomnimy tego, co uczynili dla nas Polacy". Oglądałem wczoraj tereny walk o Axel, oglądałem pamiątki, pomniki, fotografie, wycinki z gazet. Wśród tych pamiątek zwróciłem szczególną uwagę na pomnik wzniesiony ku czci polskich żołnierzy, którzy zginęli w walkach o wolność Holandii. Przedstawia on człowieka, który pada zabity, oddając w ofierze to, co należy do najcenniejszych wartości — życie. Jezus Chrystus mówi: „Nie ma większej miłości nad tę, jak kiedy kto życie swoje kładzie za przyjaciół swoich". Jakże miłowali wolność ci, którzy swoją drogę do wolności ojczyzny byli gotowi znaczyć krwią i krzyżami cmentarnymi, którzy byli gotowi złożyć na ołtarzu wolności swe młode życie. Pochylić głowę wobec tej ofiary, której jedynym celem była wolność własnego i innych uciemiężonych narodów. Ogromna to ofiara. „Nie ma większej ofiary nad tę, jak kiedy kto życie swe kładzie za przyjaciół swoich".

Ja dzisiaj, drodzy Bracia i Siostry, przynoszę Wam i Waszemu pastorowi serdeczne pozdrowienia z Polski, od moich rodaków, od naszego Kościoła, od mojego Zboru i moje osobiste. Ale przynoszę Wam również poselstwo od nas, poselstwo Słowa Bożego. „Nie ma większej miłości nad tę, jak kiedy kto życie swoje kładzie za przyjaciół swoich". Umiemy się wzruszać, nawet płakać, gdy słyszymy, a tym więcej, gdy widzimy, jak dalece człowiek dla człowieka umie się poświęcać. Umiemy okazywać wdzięczność, gdy to właśnie nam poświęcenie zostało ofiarowane. I to jest dobrze. Ale jesteśmy chrześcijanami i dlatego musimy mieć przed naszymi oczami cel wieczny — Królestwo Boże.

Gdy Chrystus mówi: „Nie ma większej miłości nad tę, jak kiedy kto życie swoje kładzie za przyjaciół swoich", to nie myśli tylko o ofiarach ludzi dla ludzi, ale myśli i mówi przede wszystkim o tej ofierze, którą sam dla nas złożył.

Wielka to była ofiara, którą składali żołnierze dla uwolnienia Waszego uciemiężonego narodu. Ale o ileż większa jest ta ofiara, którą za nas i dla nas złożył nasz Zbawiciel na krzyżu. Bo On miał na celu nie tylko życie doczesne, ale przede wszystkim wieczne. Bo On złożył ofiarę dla uwolnienia nas od grzechu, dla otwarcia nam Królestwa Bożego, dla tej wolności, którą tylko od Niego mieć możemy, wolności dzieci Bożych. Słowo Boże powiada: „Miłujmy Go, bo On nas pierwej umiłował". Umiłowanie Chrystusa jest wielką mocą Kościoła i wielką mocą chrześcijanina. Ale pytamy się nieraz: „Dlaczego mamy Chrystusa miłować? — Właśnie dlatego, że On nas umiłował i że dał swe życie dla nas i za nas! Jeśli chcemy i umiemy miłować tych, którzy dla nas swe życie w walce o wolność złożyli i jeśli nie chcemy zapomnieć, dobrze przyjrzyjmy się temu, co dla nas uczynił Jezus Chrystus. Ze wszystkich miłości „nie ma większej miłości nad tę, jak kiedy kto życie swoje kładzie za przyjaciół swoich". Mamy za co Jemu dziękować, mamy z czego się radować. Słowo Boże jest pełne radości. Prawdziwa wiara jest też pełna radości.

I dlatego: „... wzrastajcie w łasce i w poznaniu Pana naszego i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Jemu niech będzie chwała teraz i do dnia wiecznego". Amen.

**) Przemówienie wygłaszone przez ks. Zdzisława Trandę w reformowanym zborze w Axel, w niedzielę, dnia 22. XI. 1964 r.*

Ks. Karol KOTULA

Tragiczna

1. RZUT OKA NA TRAGICZNE DZIEJE PRUS WSCHODNICH

W roku 1963 spędziłem jeden miesiąc letni w Kosewie na Mazurach. Przepiękna to okolica. Wysokie wzgórza wznoszące się nad rozległymi jeziorami, kręte wąwozy między wzgórzami, a na szczytach resztki powycinanych lasów, tu i ówdzie chłopska zagroda ukryta pomiędzy drzewami, daleko na widnokręgu pasma wzniesień lub pojedyncze gołe pagórki. Wszystko to sprawia dziwne wrażenie i urzeka bogactwem barw i kształtów.

Nieraz wychodziłem na te wzgórza i spoglądając na rozległą krainę dumałem w samotności nad jej dziejami. A są to dzieje naprawdę tragiczne. W ich zaraniu mieszkały tu plemiona Prusów i Jadźwingów znane z najazdów na sąsiednią Polskę. Potem w wieku XIII, przyszli tam krzyżacy i dążąc do założenia własnego niemieckiego państwa, ujarzmili tubylcze ludy tak gruntownie, że pozostały po nich tylko nazwy miejscowości, jak Sorkwity, Zelwągi, Wajsuny, Warpuny itp. Do opustoszałej krainy przenikała gromadnie z zachodu i południa ludność polska, szczególnie mazurska, nadając całej południowej części krainy, właściwemu pojezierzu, polski charakter. Ciężkie i bezwzględne rządy krzyżaków skończyły się dla Powiślan i Warmii przez przyłączenie tych terenów do Polski pokojem toruńskim 1466 r., a dla Prus Książęcych z chwilą sekularyzacji Prus przez ostatniego mistrza krzyżackiego Albrechta, który złożył swój dotychczasowy tytuł, ogłosił się świeckim księciem i został lennikiem polskim. Po wygaśnięciu linii wschodniopruskich Hohenzollernów przeszły Prusy Książęce pod panowanie elektorów brandenburskich. Podczas najazdu Szwedów na Polskę hetman polny litewski, Wincenty Gosiewski, mszcząc się za to, że elektor brandenburski stanął po stronie Szwedów, uderzył wraz z posiłkami tatarskimi w roku 1655 na Prusy Książęce i Tatarzy spustoszyli setki wsi i szereg miast w południowo-wschodnich powiatach, zamieszkałych przez ewangelicką ludność polską. Najazd tatarski napełnił grozą lud mazurski, czemu dał wyraz Jan Tomasz Molitor, pastor w Różańsku, w pieśni: „Ojczyzno tęskliwa". Pod panowaniem elektorów brandenburskich, a potem królów pruskich, zaczęła się systematyczna germanizacja polskiej ludności.

Upływały wieki. Przez krainę przewaliła się pierwsza wojna światowa i stokroć gorsza od niej druga. Powtórzyło się to, co niegdyś przeżyła ta kraina pod najazdem tatarskim. Ziemia opustoszała, i gdyby się był znalazł drugi Molitor, byłby znowu uderzył w żałobne tony: „Ojczyzno tęskliwa". W rezultacie Prusy Wschodnie przestały istnieć, włączone bezpośrednio do Polski, do której należały pośrednio jako lenno polskie od 1525 do 1657. Kraina ta wróciła do Polski, do której od dawna mogła należeć, gdyby nie błędy popełnione w przeszłości. Inaczej wtedy potoczyłyby się dzieje tej ziemi. Od końca wojny wiele się w niej zmieniło: zabliźniły się rany, zburzone miasta i osiedla odbudowano, opustoszałe miejscowości zaludniły się na nowo, zapuszczone pola znowu zagospodarowane. Nareszcie odwróciły się tragiczne losy tej krainy. Znalazłszy się tam, gdzie jej miejsce, jako integralna część Polski kwitnie i rozwija się, stała się perłą naszego kraju.

2. POLSKOŚĆ KRAINY

Napływ ludności polskiej do Prus Wschodnich rozpoczął się już w wieku XIV. Największe nasilenie przybrał w wieku XV i w początkach wieku XVI. Była to ludność wiejska, rolnicza, ale także drobna szlachta mazurska i z innych stron Polski, osiedlająca się w Prusach Wschodnich, szczególnie w okresie Reformacji w Polsce, różni Grzegorzewscy, Guzowscy, Maleccy, Giżyccy, Kwiatkowscy, Grodzcy, Gładkowscy itd. Ludność ta stanowiła taką siłę, że książe Albrecht, urządzając Kościół ewangelicki w swoim kraju, ściągał ze wszystkich stron wykształconych

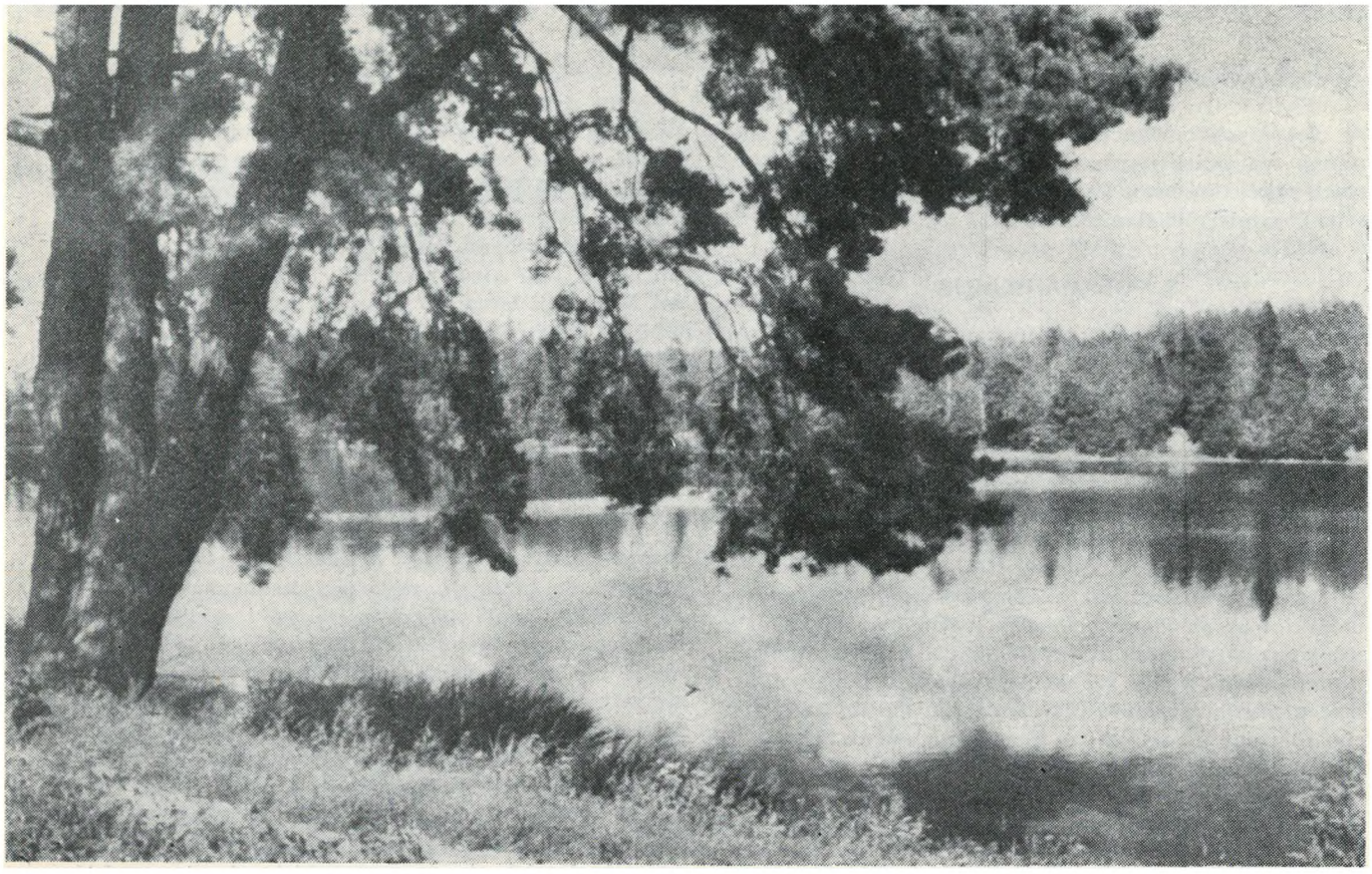

kraina

pracowników, aby tej ludności dać polskich duchownych i polską literaturę religijną. Wtedy to Prusy Wschodnie i Królewiec, z założonym tam uniwersytetem, stały się jednym z najsilniejszych ośrodków polskiej literatury. O liczebności polskiego elementu świadczy statystyka niemiecka, która pomimo trwającej już od dziesiątków lat germanizacji i mimo tego, że do Niemców zaliczano wszystkich choć trochę władających tym językiem, wykazuje w latach 1867 i 1890 następujący procent Polaków: powiat Ełk: 78% — 66%, Giżycko (Lec) 62% — 50,5%, Mrągowo (Ządzbork): 71% — 62%, Nidzica (Nibork): 78% — 76,75%, Olecko: 58% — 48%, Olsztyn: 64% — 53%, Ostróda: 65% — 54%, Pisz: 80% — 78,7%, Szczytno: 87% — 78%. Pozatem istniały i w innych powiatach mniejsze skupiska polskiej ludności. Zaznaczyć także trzeba, że ludność tę uważano oficjalnie za polską i dopiero pod koniec wieku XIX zaczęto o niej mówić i pisać jako o ludności mazurskiej. Spadek procentowy ludności polskiej w latach 1867—1890 tłumaczy się nie tylko germanizacją, lecz także odpływem ludzi bezrolnych i robotników na Zachód. Ludność tamtejsza była przeważnie ludnością małorolną, wiodącą na ogół nędzny żywot. Gleba bowiem jest tu mało urodzajna, klimat ostry, gospodarstwa karłowate. Przemysłu prawie wcale nie było, miasta nie mogły wchłonąć nadmiaru ludności. Lud zaczął więc emigrować na Zachód, początkowo na roboty sezonowe, potem na stałe do przemysłowych okolic.

O tym, że i miasta w Prusach Wschodnich nie były całkiem niemieckie, świadczy fakt, że władze miejskie jeszcze w roku 1837 wydawały ogłoszenia w języku polskim, np. w Mrągowie w sprawie wyborów rady miejskiej. Było to konieczne, skoro pastor Riemer, zwolennik germanizacji, pisze w roku 1837: „Przed 20 laty nawet w miastach polsko-pruskich okolic najniższa klasa mieszkańców nie znała wcale

mowy niemieckiej, a w kołach inteligencji była ona w użyciu tylko obok polskiej". Jeszcze w roku 1837 w niektórych miastach niemiecka statystyka, bynajmniej nie obiektywna, wykazywała większość polskich mieszkańców w Działdowie, Mikołajkach, Orzyszu, Pasymiu, Wielbarku.

3. GERMANIZACJA

Na germanizację ludności składały się różne przyczyny. Początkowo germanizowała się szlachta przez koligacje z rodami niemieckimi i służbę państwową. Stąd pochodzi ta zmiana nazwisk: Gregorovius (Grzegorzewski), Gusovius (Guzowski), Maletius (Małecki), Gudovius (Gudowski), Boretius (Boreski), Gladkovius (Gładkowski), Gisevius (Giżycki) itd. Codzienny to był widok, że wszystko, co zamożniejsze, więcej wykształcone — duchowny, nauczyciel ,lekarz, urzędnik, kupiec — było niemieckie, brak polskiej literatury, chiński mur stawiany pomiędzy ludem mazurskim a społeczeństwem polskim przez gotycki alfabet, przez wiarę, ekskluzywność Wielkopolski, która umiała walczyć o prawa językowe dla siebie, ale nie myślała o poparciu dążeń polskich na Mazurach — brak zainteresowania w Warszawie — to wszystko ułatwiało władzom pruskim germanizację. Lud, który nie czerpie duchowego pokarmu z dóbr narodowej kultury, dziejów, literatury, myśli, ducha, skazuje siebie na powolne konanie. A władze pruskie czyniły wszystko, by lud mazurski odosobnić.

Najważniejszą jednak przyczyną germanizacji ludności mazurskiej było czynne gnębienie polskości przez germanistyczne zarządzenia. Nie jest rzeczą przypadkową, że nasilenie germanizacji nastąpiło po powstaniu listopadowym 1830/31. Sympatia, z jaką powstanie polskie spotkało się wśród ludności mazurskiej, zaniepokoiła władze pruskie i wzbudziła ich czujność. Zabrano się więc energicznie do germanizacji szkoły. Dotąd uczono w szkołach po polsku, wielu nauczycieli nie znało wcale języka niemieckiego. W roku 1832 wydano zarządzenie wprowadzające we wszystkich szkołach przynajmniej 8 godzin nauki języka niemieckiego w tygodniu. Ponieważ nauczyciele w znacznej części nie umieli mówić i uczyć po niemiecku, urządzono dla nich kursy tego języka. W roku 1834 wydano nową instrukcję nakazującą wprowadzenie w oznaczonej liczbie godzin (oprócz nauki języka niemieckiego) języka niemieckiego jako wykładowego. Niemieckie dzieci miały pobierać naukę wyłącznie w tym języku. Zarządzenia te wywołały wśród ludności niezadowolenie i opór. Energicznie i głośno wystąpił przecim nim pastor ostródzki, Gustaw Gizewiusz. Sprzeciw jego, szczególnie zaś wydana w Niemczech książka: „Die polnische Sprachfrage in Preussen" (Lipsk 1845), protesty i innych duchownych, zwłaszcza Fryderyka Tymoteuszu Kriegiera, superintendenta w Ełku (1834), synodu powiatowego w Olecku (1836) pod przewodnictwem superintendenta Augusta Fryderyka Czygana, a także wyraźny opór ludności spowodowały, że przyznano pewne koncesje na rzecz języka polskiego; mianowicie: nauka religii ma się odbywać w polskim języku, a dzieci polskie należy uczyć czytać i pisać po polsku. Ale koncesje te sabotowano, gdzie tylko i jak tylko było można, a po rychłej śmierci Gizewiusza (1848) przestano się z nimi liczyć. W roku 1888 zabroniono ostatecznie nauczania religii w języku polskim.

Równocześnie zaczęto akcję germanizacyjną w Kościele przez ograniczenie liczby nabożeństw polskich na rzecz niemieckich, przez nakaz odprawiania wszędzie, bez względu na liczbę Niemców w parafii, nabożeństw niemieckich w dogodnej porze i zdegradowanie polskich do rzędu pobocznych (1862). Choć do Niemców zaliczano także Mazurów znających język niemiecki, byli Niemcy w wielu parafiach w mniejszości. W parafii Mrągowo w r. 1886 na ogólną liczbę dusz 8250 — Polaków 5200, w Sorkwitach w roku 1863 na 4300 dusz około 4000 Polaków, w Mikołajkach w roku 1895 na 7700 dusz 4400 Polaków, w Ukcie w roku 1879 na 3040 dusz 2890 Polaków, w Giżycku w roku 1881 na 2920 dusz 1500 Polaków, w Szczytnie w roku 1903 na 9600 dusz 6600 Polaków, w Pasymiu w roku 1898 na 5575 dusz $^2/_3$ Polaków, w Jerutkach jeszcze w roku 1900 Polaków 9300 na 9500 dusz. Do upośledzenia polskiej ludności w Kościele przyczyniał się także brak polskich pastorów, świadome i celowe zaniedbanie nauki języka polskiego i przygotowania duchownych do pełnienia służby w zborach o większości lub poważnym odsetku polskich parafian. Następstwem tego było straszliwe kaleczenie polskiego języka w kazaniach i wszelkich czynnościach. O tym świadczy odezwa władz Kościoła z roku 1919 ogłoszona w kościele w Sorkwitach: „Z gniewem słuchaliśmy o wezwaniu, z którem polska konsistorya w Warschawie się w przeszłym księżycu obrociła do naszych drogich zborów mazurskich, aby je zwodzić do zdrady ku ojczyźnie naszej i do odpadnięcia od starego Kościoła ojcowskiego. Prawie każde słowo w niem jest chytrością i oszukaństwem, natchnione od dzikiej nienawiści, która oko zaślepia i sprawiedliwość umartwia". Zaczęto także likwidować naukę konfirmacyjną w języku polskim, ponieważ dzieci opanowały już, jak twierdzono, dostatecznie język niemiecki. Jeżeli do tego dodamy germanizację w wojsku — zakaz mówienia po polsku w koszarach, urzędach, w kupiectwie, rzemiośle — to nic dziwnego, że germanizacja robiła postępy. Lud mazurski skazano na zagładę. Mimo to rachuby niemieckie na zupełne wynarodowienie Mazurów się nie spełniły. Lud zaczął się bronić, świadomość narodowa robiła postępy. Ostoją polskości było drukowane słowo, katechizm Lutra, postylle, kancjonały, Biblia polska. Kiedy się skończyła pierwsza wojna światowa, kiedy się załamały Niemcy, upadło cesarstwo, kiedy powstała wolna, niepodległa Polska, zdawało się, że lud mazurski wróci po długiej niewoli do Polski.

Ale wielkie nadzieje, tak po stronie Mazurów, jak po stronie Polski, zawiodły. Brak zdecydowanego czynu ze strony Polski, spowodowany w znacznej mierze przez brak zrozumienia dla sprawy Mazur u tych, którzy stali na czele powstającego z grobu Państwa, fatalna sytuacja kraju w okresie plebiscytu, szczególnie z powodu wojny na wschodzie, błędy popełnione w czasie przygotowania i organizacji plebiscytu, spowodowały przegraną wielkiej dziejowej szansy. Potem przyszło niemiłosierne tępienie polskości w okresie władzy Hitlera, druga wojna światowa ze swymi spustoszeniami, trudności w niezwłocznym opanowaniu sytuacji w pierwszych chwilach po wojnie, błędy popełnione w stosunku do ludności mazurskiej — to wszystko odbiło się ujemnie na stanie tej krainy i jej ludności, w jakim zaczęła byt swój po wojnie. Jednakże przez wielkie zmiany polityczne nowa otworzyła się przed nią przyszłość.

Jan KONAR

Ekumeniczny aspekt teilhardyzmu

Dziesiąta rocznica śmierci wielkiego francuskiego myśliciela i badacza, ojca jezuity Pierre'a Teilharda de Chardin, dała asumpt do pojawienia się w prasie światowej, zarówno katolickiej jak i świeckiej, ogromnego mnóstwa artykułów poświęconych pamięci i dziełu tej bezspornie wielkiej i ciekawej postaci naszych czasów. Również i w Polsce nie brakło artykułów i prac omawiających życie i dzieło Teilharda de Chardin. Postępową prasę katolicką interesowała na ogół sama osoba pięknej i szlachetnej postaci ojca jezuity. Prasa świecka, a szczególnie marksistowska, z natury rzeczy interesowała się raczej zaganieniem ewolucji. Nas zajmuje w dziele Teilharda zgoła co innego, mianowicie: czy teoria uczonego ojca jezuity o rozwoju świata i ludzkości mieści się w ramach prawowiernej nauki Kościoła rzymskiego i czy przypadkiem nie zawiera w sobie czegoś, co mogłoby się stać podstawą przyszłego wspólnego dialogu ekumenicznego.

Pierre Teilhard de Chardin urodził się 1 maja 1881 r. w Orines (Puy-de-Dome). Pochodził ze starej francuskiej rodziny, osiadłej w Owernii. Już od wczesnej młodości nosił się z zamiarem wstąpienia do klasztoru. Święcenia kapłańskie przyjął w 1905 r. w Hastings, w Wielkiej Brytanii. W latach 1905—1908 pracował w Egipcie w charakterze geologa. Prace te kontynuował w 1912 r. w Anglii. Po powrocie do kraju podjął prace paleontologiczne w Muzeum Przyrodniczym w Paryżu. Rok 1919 zastał go na stanowisku profesora teologii w paryskim uniwersytecie katolickim. W 1922 r. uzyskał tytuł doktora nauk przyrodniczych, a w latach 1923—1945 przebywał (z przerwami) na Dalekim Wschodzie, w Mongolii i w Chinach, gdzie w r. 1931 uczestniczył w odkryciu „praczłowieka z Pekinu" (Sinantropus) oraz brał udział w sławnej Croisiére Janue, podróży z Paryża do Pekinu. Następnie kierował wykopaliskami archeologicznymi w Szuktjen, w Indiach i na Jawie. Po powrocie do kraju w 1945 r. objął stanowisko dyrektora Państwowego Ośrodka Badań Naukowych. W 1950 r. został członkiem Francuskiej Akademii Nauk. Ostatnie lata życia spędził w Stanach Zjednoczonych, dokąd wyjechał w 1951 r., nie omieszkawszy przedtem, mimo podeszłego wieku, odbyć jeszcze dwóch podróży do Afryki Południowej. Umarł 10 kwietnia 1955 r. w Stanach Zjednoczonych. Niebawem przystąpiono do pośmiertnego wydania jego dzieł. Jacques Madaule, którego fragmenty prac o Teilhardzie drukuje katolicki tygodnik „Za i przeciw", powiada ,że w trzy dni po śmierci Teilharda pochowano go bez żadnego rozgłosu na cmentarzu jezuitów w Saint-Andrews on Hudson, a w drodze na ostatni spoczynek towarzyszyli mu tylko dwaj ludzie: stary towarzysz i przyjaciel z Chin, ojciec Lercy, oraz ojciec prowadzący kondukt żałobny. Madaule twierdzi, że Teilhard w ten sposób odchodził w pokorze, prostocie i milczeniu, i dobrze, że tak się stało, gdyż śmierć i uroczystości pogrzebowe były obrazem życia tego człowieka. Jacques Madaule ma niewątpliwie rację. Tak cicho odchodził człowiek, którego myśl, niemal natychmiast po śmierci twórcy, zaczęła żywiołowo rozprzestrzeniać się po świecie. Ale nam uroczystości pogrzebowe Teilharda przypominają również pogrzeb Augusta Cieszkowskiego i tylu innych wielkich katolików, których poglądy różniły się od poglądów i od nauki Kościoła rzymskiego.

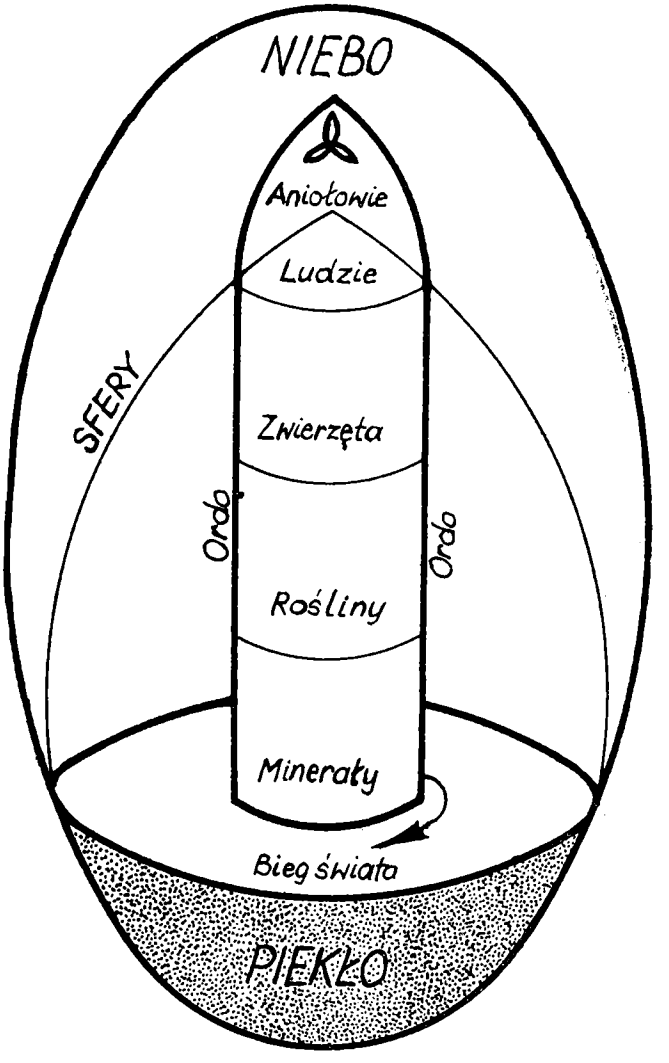

Rys. 1

Wybitnemu uczonemu, ojcu jezuicie, świat francuski zaofiarował w 1943 r. katedrę w Collège de France, najsławniejszej obok Sorbony wyż-

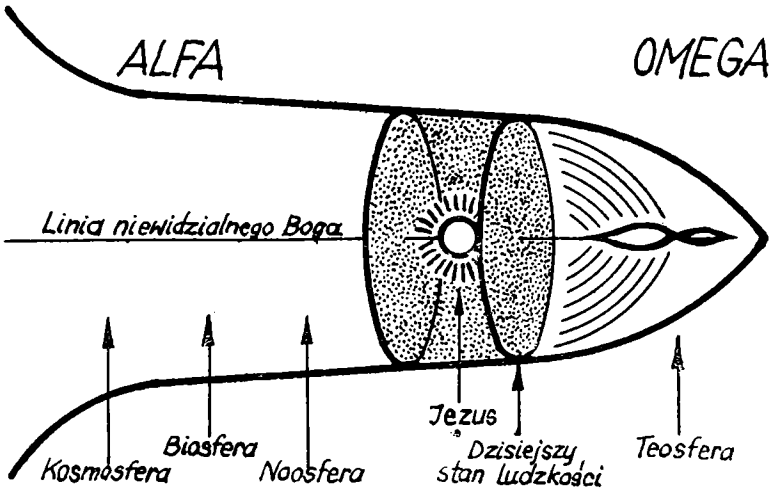

Rys. 2

szej uczelni Francji. Teilhard wyjechał wnet do Rzymu, aby prosić swych przełożonych o zezwolenie na przyjęcie tej nominacji. W Rzymie przyjmowano go bardzo życzliwie, z wszelkimi honorami, jak na wielkiego uczonego przystało, a tym życzliwiej, ze zamierzano mu właśnie odmówić wszystkiego, o co przybył prosić.

Teilhard nie uzyskał pozwolenia na przyjęcie katedry w Collège de France, jak również na wydanie głównego swego dzieła — „Fenomenu ludzkiego", jak nie pozwolono mu ogłosić pracy pt. „Ludzka grupa zoologiczna". Po powrocie z Afryki Południowej, w listopadzie 1951 r., przełożeni dali mu znać, aby osiedlił się w Stanach Zjednoczonych. Teilhard był otwarcie lub z ukrycia tępiony przez klan integrystów. „Jestem więc zdecydowany działać jak dotychczas — powiada — licząc na jakąś szansę, a raczej na słuszność sprawy. Wiem dobrze, że tak właśnie przemawiali wszyscy heretycy, lecz na ogół ich stanowisko nie zmierzało do tego, aby wynieść Chrystusa ponad wszystko, w gruncie rzeczy to jest jedyny zarzut, jaki mnie można postawić". Tak sądził on. Inni myśleli o nim co innego. Traktowali go po prostu jako niebezpieczny materiał wybuchowy, który trzeba odsunąć możliwie jak najdalej od miejsc, gdzie mógłby eksplodować z największą siłą, to znaczy we Francji, w ojczyźnie Teilharda.

W cztery lata po śmierci wielkiego uczonego pięciu teologów papieskiej akademii w Rzymie wydaje oficjalnie potępiający werdykt na Teilharda. Na razie proces inkwizycyjny nie został przeciwko niemu wszczęty, ale dwa komitety, złożone z 55 wybitnych katolickich uczonych, miały za zadanie, przed opublikowaniem dzieł Teilharda, wydać o nich opinię. W 1961 r. rzymski urząd inkwizycyjny polecił usunąć ze wszystkich bibliotek kościelnych książki Teilharda, które dotąd były drukowane bez kościelnego zezwolenia przez wydawnictwa świeckie. Wreszcie 30 czerwca 1962 r. inkwizycja rzymska wydaje Monitum, w którym stwierdza, że „wymienione dzieła pod względem filozoficznym i teologicznym zawierają tego rodzaju dwuznaczne wypowiedzi, ba tyle ciężkich błędów, że urągają wprost nauce katolickiej".

Wszystkie urzędy kościelne zostały wezwane do czujności i ochrony przede wszystkim młodych ludzi przed błędami Teilharda i jego zwolenników. Nie pozbawione jest pewnej pikanterii przekonanie niektórych teologów katolickich, że w przyszłości lewe skrzydło katolików przechyli się raczej w kierunku heretyka Teilharda, niż bezbożnika Marksa, co w ich oczach jest mniejszym złem.

Ojciec jezuita Pierre Teilhard de Chardin — heretyk i marksista! O co chodzi? Wiadomo, że kogo Kościół katolicki chce zdyskredytować, temu przypina łatkę albo heretyka, albo komunisty. Teilharda de Chardin spotkał podwójny zaszczyt. W określniu Teilharda jako heretyka i marksisty jest jednakże trochę prawdy. Teilhard jest w gruncie rzeczy wielkim heretykiem, który do rydwanu swoich filozoficzno-teologicznych poglądów zaprzągnął zasadę darwińsko-marksistowskiej ewolucji. Z drugiej natomiast strony ani jedno, ani drugie określenie nie wyczerpuje całego zagadnienia teilhardyzmu. Nie będziemy tu szczegółowo zajmować się całokształtem nauki Teilharda de Chardin. Poglądy jego przedstawił w 1963 r. T. Płużański w książce „Teilhard de Chardin" oraz Tadeusz Radwan w świetnym studium „Tailhardyzm i jego recepcja w Polsce", drukowanym w „Faktach i myślach" (luty 1965 r.). Warto jednak na samym wstępie stwierdzić, że jak zewnętrzna postać uczonego jezuity jest różna od postaci dominikanina i twórcy urzędowego kościelnego tomizmu, tak dalece również różnią się ich naukowe systemy. Przeciwieństwo to uprzytomnimy sobie najłatwiej przyjrzawszy się dwu rysunkom, zapożyczonym z książki Wolfganga Philippa: „Religiöse Strömungen unserer Gegenwart" (Heidelberg 1963, str. 23 i str. 65).

Rysunek pierwszy przedstawia tomistyczny obraz świata. Świat został stworzony taki, jaki jest dzisiaj i jaki pozostanie aż do chwili, w której go Bóg zlikwiduje. Jest więc stały i nieznany. Panuje w nim z góry określony ład (ordo) i drabina coraz wyższych tworów, a więc świat martwej przyrody, świat roślin i świat zwierząt. Koroną wszelkiego stworzenia jest człowiek. Ponad nim są już tylko aniołowie. W sferze ponadanielskiej, w niedostępnym „niebie", przebywa Bóg, niezmienny, stały byt.

Przyznać trzeba, że w tym obrazie jest coś wspaniałego i imponującego. Przypomina on średniowieczną monumentalną katedrę. Wokół niej kręcą się ludzie, rodzą się, żyją, pracują i umierają, tworząc dzieje, ale sama katedra stoi niewzruszona, stale wskazując swoimi smukłymi wieżami w niebo.

Drugi obrazek, przedstawiający Teilhardowski obraz świata, przypomina raczej nowoczesną rakietę kosmiczną, z nieprawdopodobną szybkością pędzącą w przestworza. Nie ma tu nic stałego i niezmiennego. „Panta rei", wszystko jest w ruchu, a akcji (aktualizm), stale się zmienia i rozwija (ewolucjonizm). Wszystko to odbywa się między dwoma puktami, między Alfa i Omega (Obj. 22, 13), początkiem i końcem wszelkiego stawania się. Jest to heglowska ekswolucja i inwolucja najwyższego, absolutnego Ducha.

Ewolucja w rozumieniu Teilharda nie jest niczym innym, jak tylko rozszerzeniem się aktu stworzenia w punkcie Alfa, w którym powstała materia i kosmos. Życie przedstawia nieprzepartą dynamikę. Poczynając już od stadium materii elementarnej wszystko jest obdarzone Systemem (wielokrotnością), Totum (jednością) i Quantum (energią). Każdy atom jest zorganizowanym światem promieniującym niewyczerpane zasoby energii. Ale Teilharda de Chardin w gruncie rzeczy nie interesuje wyjściowy punkt — Alfa, tak jak to robią dotychczas fideliści i ateiści, lecz czasy ostateczne, eschatologia, końcowy punkt dziejów świata — Omega. Kamienie, kryształy przedstawiają tylko proste związki molekularne. O ileż ciekawsze i bogatsze jest już, jako zawiły związek molekuł, żywe białko jajka. Od kosmogenezy prowadzi droga do biogenezy, a z niej do antropogenezy. Świat wyszedłszy z geosfery przekracza kolejno etapy biosfery i psychosfery, by osiągnąć wreszcie noosferę, czyli erę myśli. Człowiek nie jest już jedynie nowym gatunkiem zwierzęcia. Zapoczątkowuje i reprezentuje nowy rodzaj życia .Między jednym etapem ewolucji a drugim istnieje tylko jedna rzeczywistość, jedna siła wzrastająca i poszukująca samej siebie. Będąc początkowo więźniem materii prymitywnej, stopniowo, stopniowo wyzwala się z człowiekiem aż do arcydzieła, jakim jest myśl, czyli świadomość samego siebie.

Era aktywności ewolucji nie kończy się jednakże z pojawianiem się zoologicznego typu ludzkiego. Wskutek indywidualności refleksji, przejawia się teraz właściwość „totalizowania się". Pod względem gatunkowym człowiek nie osiągnął jeszcze dojrzałości. Poczynając od XVIII wieku (kiedy to odkryta została zasada ewolucji) świadomy i zorganizowany człowiek działa w kierunku ewolucji według swej woli, zgodnie z potrzebą bytu i pragnieniem doskonałości. Punkt Omega stanowi końcowy wyraz ewolucji. Jest on doskonałym kresem i osiągnięciem tego, ku czemu zmierzał cały proces ewolucji. Jest to powrót do pierwotnej, ale tym razem doskonałej jedności. Punkt Omega jest kresem dojrzewania całego procesu kosmicznego. Jest to kres absolutny, boski.

Cały wszechświat, z gwiazdami i mgławicami, jest olbrzymią wirującą spiralą. W samym centrum kosmicznego stawania się pojawia się rozum ludzki. Ale i on jest tylko cząstką rozumu powszechnego, absolutnego Ducha.

Historyczny Jezus z Nazaretu sprawiał Teilhardowi pewne trudności. Zagadnienie to rozwiązał w taki sposób, że Jezusą uważa za wielką cenzurę, wielką gwiazdę ery noosferycznej. Jeżeli natura jest rodzicielką ducha, a duch jest rodzicielem Boga, to przecież Bóg w kosmicznym procesie musi w pewnym punkcie wystąpić w widzialnej, ludzkiej postaci. Jezus jest ludzką manifestacją Boga. W pełni czasu noosfery Bóg mógł objawić się częściowo (Cieszkowski powiedziałby: „pod miarą") w postaci materialnej. Dzisiejsza jednakże ludzkość jest już niejako za Jezusem i zmierza do teosfery, w której Bóg będzie wszystkim we wszystkim (1 Kor. 15,28). To będzie urzeczywistnienie wielkiego zadania dziejów objawienia, szczytowy rozwój ludzkiej osobowości (osoba — persona — personalizm), która znajdzie swoje urzeczywistnienie w osobowości Boga.

Obecnie znajdujemy się w epoce zcalania się ludzkości, w epoce „planetyzacji", która wymaga powstania i urzeczywistnienia świadomości uniwersalnej. Wiara i nauka nie wykluczają się wzajemnie. Personalizm i humanizm, rządzący już niemal niepodzielnie w naszej epoce, jest w zupełnej zgodzie z chrześcijaństwem. Nie mamy już prawa, jak to czynił tradycjonalny spirytualizm, przeciwstawiać Boga w zaświatach Bogu sprzed zaświatów. Obecnie chodzi o syntezę ich obu.

Wielki mit Teilharda de Chardin o „ stawającym się" Bogu nie jest w dziejach religii zjawiskiem nowym. Dotąd jednakże nikomu nie udało się poprzeć go przesłankami nauk przyrodniczych, dostępnymi tylko zawodowemu paleontologowi i archeologowi, jakim był uczony jezuita Teilhard, który przesłanki teologiczne i wyniki badań przyrodniczych sprowadził do wspólnego mianownika.

W systemacie nauki Teilharda de Chardin nie ma miejsca na „stare" pojęcia, jak grzech, zbawienie i zatracenie, niebo i piekło, ale raczej dla starej herezji Oryginesa o apokatastasis panton, o zbawieniu wszystkich, nie wyłączając nawet szatana. Zło, cierpienie, grzech i niewiara będą stopniowo zanikać. Dziś jeszcze istnieją, i dlatego w tym stanie ludzkości Bóg nie może objawić się jej w całej pełni. Stanie się to dopiero w punkcie Omega.

Oto synteza poglądów Tailharda de Chardin. Przyznać trzeba, że są to mocno heretyckie i rewolucyjne poglądy. Kosmiczna rakieta Teilharda rozbija w proch starą, czcigodną katedrę św. Tomasza z Akwinu. Wystarczy przeczytać same tytuły książek Teilharda, żeby sobie uprzytomnić, dokąd zmierza jego rakieta: Tajemnica i obietnica zeimi, Życie kosmiczne, Powstanie człowieka, Pielgrzym przyszłości, Człowiek w kosmosie, Chrystus w materii, Msza nad światem, Środowisko boskie, Serce materii, Walka przeciw wielkości, Wielka Monada itd.

Aktualizm, ewolucjonizm i personalizm to pojęcia, których niepodobna uzgodnić z katolickim tomizmem. W. Philipp (str. 65) powiada, że Teilhard miał już poprzedników w średniowieczu. Aktualizm średniowiecznych heretyków łączy się w systemie Teilharda z marksistowsko-darwinistyczną teorią o ewolucji. Uczony jezuita oba te czynniki zespala żarem uczucia religijnego tak dalece, że zarówno marksistom, jak i badaczom przyrody robi się nieswojo. A wszystko to opromienione jest wzruszającym wprost optymizmem. Rzeczywistość w ujęciu Teilharda jest postępowym prądem ustawicznych przemian, zmierzających do coraz większej doskonałości. Teilhard w epoce bomby atomowej odrzuca jakąkolwiek myśl o mogącej nastąpić katastrofie światowej. Jego zdaniem świat jest dobrze przystosowany do swojego celu. Logicznym kresem ewolucji jest zwycięstwo dobra. Jedynym sędzią jest życie .Co jest nieudane i złe, nie ostoi się. Człowiek jest niezastąpionym w procesie ewolucyjnym; gdyby go zabrakło, cała ewolucja prowadzona od miliardów lat, straciłaby swój sens. Kto potrafi patrzeć w wszechświat, na pewno odnajdzie w nim nadzieję.

Poglądy ojca Teilharda mogą wywołać szok u pewnych ludzi, lecz nie u tych, którzy wyrośli w duchu protestanckiego personalizmu. „Kulturowy" protestantyzm ub. wieku,

Dokończenie na str. 16

Ks. Jean VIVIEN

MODLITWA I

Łuk. 24:13-35

Świat stał się większy. Czyż nie uczestniczymy w hałaśliwym święceniu jego wielkości? Czyż jest mu jeszcze potrzebny jego Ojciec i Stwórca? Świat czuje się uwolniony od zależności od Boga, jak dwudziestoletni młody człowiek, który obnosi się ze swą wolnością, choć jeszcze nie potrafi sobie radzić zupełnie sam. Przy tym wszystkim, co posiada, przy tym, czym jest, czegoś mu jednak brakuje. Brakuje mu Kogoś, choć nie chce się do tego przyznać. Właściwie posiadamy wszystko (czegóż nam brak?), a jednak, gdy znajdziemy się na drodze sami, jak uczniowie na drodze do Emaus, jesteśmy niespokojni.

Nagłe ukazanie się słońca, które wszystko oświetla, jest drobiazgiem w porównaniu z wielką przemianą, jakiej doznaje człowiek, gdy spostrzega, że jest kochany.

Otóż to nie Bóg jest nieobecny, lecz nasze oczy są pozbawione możliwości rozpoznania Go. Zdarza się nam mówić o Nim, a nawet być może rozmawiać z Nim i wcale o tym nie wiedzieć. Jaka dziwna rozmowa Jezusa i tych dwu ludzi idących do Emaus! Dla nich Chrystusa nie ma. Bóg umarł. A oto właśnie On jest z nimi w drodze. Nieświadomie wypowiadają, w całym tego słowa znaczeniu, modlitwę wieczorną: „Zostań z nami, bo dzień się już nachylił i ma się ku wieczorowi". Sądzili, że pragnąc przedłużyć Jego obecność, zwracają się po prostu do kogoś, z kim czuli się jak z dobrym przyjacielem. Tymczasem to właśnie Pan ich słucha i spełnia ich prośbę. Gdybyż wiedzieli! — Będą wiedzieli. I nie będą już wątpić.

Nieświadomie również ułożyli dla nas i dla wszystkich, którzy czytają tę stronicę Ewangelii, najcichszą i najładniejszą z modlitw. Powstała w atmosferze bezpośredniości, jaka ich łączyła z żywym Chrystusem, w miłości do Boga i w ludzkim pragnieniu miłości. Trzy słowa, które oddalają wszelką obawę, wszelki strach, wszelki niepokój. Żadnych problemów, żadnych powikłań, żadnego słownictwa wtajemniczonych, po prostu: „Zostań z nami". Pokój i tylko pokój.

Pokój modlitwy o trzech porach dnia: „Ja do Boga wołam, a Pan mnie wybawi. Wieczorem, rano i w południe... wysłucha głosu mojego. Wybawi duszę moją, obdarzy pokojem..." (Ps. 55:17.18.19). „Stał się ranek, stał się wieczór"; to są kamienie milowe, które od stworzenia świata odmierzają dni człowieka. Wieczór oznacza zakończenie dnia, wypełnienie zadań, lecz także zmęczenie i pragnienie wypoczynku. Jest to też godzina głosów nocy, lęku i pokus ciemności, otwartych drzwi nocy. Jest to także czas snu, kiedy najsilniejszy człowiek, bardziej bezbronny od dziecka, oddaje się aniołowi stróżowi, lub raczej Bogu: Temu, który nie drzemie ani nie śpi. Dlatego modlitwa wieczorna jest modlitwą ufności: „Zostań z nami. Mogę przetrwać noc jedynie, gdy oddam się pod Twoją, Panie, opiekę. Wszystko jest przeciwko mnie: moja ludzka słabość, moje grzechy, ciemności, niebezpieczeństwa, śmierć, ale za mną jesteś Ty. Ty nie drzemiesz, ani nie śpisz, Ty czuwasz nawet wtedy, gdy najlepsi uczniowie Twoi, gdy Kościół Twój pogrąża się we śnie. Nie przestajesz żyć w nas podczas nocy, gdy jesteśmy pogrążeni w nieświadomości, a czynisz to w taki sposób, że mamy pewność ujrzenia nowego dnia, a po śmierci powstania ku Twemu światłu". Tak więc z nadejściem wieczoru Bóg oczekuje i wysłuchuje naszej modlitwy wiary.

Ranek, próg nowego dnia. Noc, jej strachy i poczucie opuszczenia, rozproszyły się. Pozostaje tylko otworzyć oczy. Oto głosy dnia: zadania do wypełnienia, praca do wykonania — dano nam do tego siły, możliwości i czas. Zapewne, to wszystko nie jest proste, ani łatwe. Lecz oto już jesteśmy na nogach. Chwila przebudzenia — wtedy i dziecko, i człowiek dojrzały czuje się zdolny do wielkich rzeczy. Dlatego modlitwa poranna jest modlitwą nadziei: „Panie, przybądź z pomocą. Ten dzień do Ciebie należy. Mogę przezeń przejść, mogę go przeżyć, dobrze wypełnić, gdy Tobie ufam, gdy ufam Twoim obietnicom. Utwierdź dzieło rąk naszych, naszego ducha. Wypełnij w nas dzieło Twoje, abyśmy dzisiaj, jutro i zawsze chodzili w Twojej światłości, aby świat żył wobec jasności oblicza Twego dopóty, dopóki

Szczyt południa. Godzina ludzkiej masy. Tłum roi się wokół. Tworzą go moi bracia, moje siostry. Nie mogą ich nie dostrzegać.

ŻYCIE

ziemia trwać będzie". Tak więc z rana Bóg oczekuje i wysłuchuje naszej modlitwy nadziei.

Południe. Oto znaleźliśmy się w centrum, w samym jego sercu. Szczyt południa. Chwila zatrzymania się i rozejrzenia dokoła. Wszyscy pracują, słońce w zenicie. Tłum roi się wokół nas. Zanurzony w tłumie, płynę razem z nim. Godzina ludzkiej masy. Wszyscy dokoła, wśród których krążę, którzy się tłoczą, są przeznaczeni do Królestwa Bożego, gdyż są jak ja, jak my, dziećmi Boga. Ten anonimowy tłum tworzą więc moi bracia, moje siostry. Nie mogę ich nie dostrzegać. Oto godzina otwartych oczu, skierowanych ku drugim, godzina znajomości świata i ludzi. Dlatego południowa modlitwa jest modlitwą miłości: „Panie, Twoja miłość błyszczy nad nami, jak słońce w pełni południa. Ty kochasz wszystkich ludzi, Ty ich nawołujesz do zbawienia, Ty im obiecujesz przyszłe dobra. Błogosław mi, błogosław nam pośród dnia, nam i tym, których nam dałeś i zawierzyłeś, nam i tym, o których się ocieramy nie znając ich, nam, wszystkim ludziom, który w tej godzinie żyją tutaj i wszędzie". Tak więc w samo południe Bóg oczekuje i wysłuchuje naszej modlitwy miłości.

Szczęśliwy, kto szuka pokoju w modlitwie i znajduje pokój modlitwy.

O SOBORZE

Polska Rada Ekumeniczna zorganizowała dnia 9 marca br. konferencję poświęconą Soborowi Watykańskiemu. Licznie zgromadzeni przedstawiciele Kościołów ekumenicznych z całego kraju wysłuchali referatów ks. ks. Stanisława Dąbrowskiego i Maksymiliana Zipfela. W ożywionej dyskusji zabrało głos kilkunastu mówców. W przekonaniu ogółu Sobór wprowadza Kościół rzymskokatolicki na nowe drogi; w szczególności godny podkreślenia jest fakt diametralnej zmiany stosunku do chrześcijan niekatolików. Nie zmienia to jednak faktu, że ekumenizm rzymski różni się zasadniczo od ekumenizmu wypracowanego przez dziesięciolecia działalności ruchu „genewskiego".

Ks. Stanisław FOKS

DROGA TOMASZA

Było ich dwunastu. Apostołowie — najbliżsi uczniowie Pana. Każdy z nich miał swoją przeszłość, swój dzień powołania, swoje wahania i nadzieje, i wreszcie, swoją śmierć. Każdy z nich był inną indywidualnością, różnili się między sobą poglądami nawet na sprawy niezwykłej wagi, prowadzili spory, ulegali porywom entuzjazmu i gniewu. Łączyło ich jednak coś, czym zostali obdarzeni przez Chrystusa: zaufanie, może szerzej — wybranie, i coś, czym wspólnie — choć każdy w inny sposób — na to wybranie odpowiedzieli: pójściem za Jezusem.

Warto się przyjrzeć osobie jednego z dwunastu — apostołowi Tomaszowi. Nie chodzi o bogato udokumentowaną biografię, czy o wyczerpanie problemu wiary i ufności, które z osobą Tomasza tak bardzo się łączą. Chodzi o kilka myśli pozwalających lepiej Tomasza zrozumieć, zwłaszcza że w apostolskim zespole uczniów Jezusowych zajął on szczególną pozycję.

Nie ma w Ewangeliach osobnego opisu powołania Tomasza. Ewangelista Mateusz (10:2—4) umieszcza po prostu Tomasza w drugiej czwórce powołanych dodając, że razem byli przez Mistrza posłani do „zaginionych owiec domu Izraelowego". Swoją postawę człowieka zdecydowanego i oddanego Jezusowi, ujawnił Tomasz w czasie podróży Chrystusa i uczniów do wrogo względem Zbawiciela usposobionej Judei (Jan 11:7—8). Jeden Tomasz nie boi się represji jej mieszkańców i gotów jest z Jezusem ponieść śmierć męczeńską (Jan 11:16). Umie być odważnym i umie pytać. Chce wiedzieć i otrzymuje odpowiedź. Jedną z nich: „Jam jest droga, prawda i życie" (Jan 14:6) zawdzięczamy właśnie Tomaszowi, który przerwał mowę pożegnalną Pana, ażeby usłyszeć dodatkowe wyjaśnienia.

Było też sądzone Tomaszowi przeżyć Chrystusowe Zmartwychwstanie (Jan 20:24—29). Nie był obecny przy pierwszym ukazaniu się Jezusa apostołom. Nie uwierzył całej dziesiątce, a być może, że i większej liczbie uczniów. Zażądał dowodu wprost od samego Zmartwychwstałego, i to takiego dowodu, który dotarłby do jego świadomości nie tylko przez wzrok, ale i przez dotyk. Z Janowego opowiadania wiemy, że znalazł zrozumienie i spełnienie swoich ambicji.

Interesujące jest związanie tego faktu z wypowiedzią jednego z francuskich współczesnych teologów (Lacroix) na temat wiary: „Nie trzeba wierzyć w to, co się wie, lecz wiedzieć o tym, w co się wierzy". Droga Tomasza do wiary i zaufania szła przez wątpienie. To dzisiaj droga wielu ludzi, którzy idą do Chrystusa. Droga trudna. Każdy człowiek ma swoją własną drogę i nie może nigdy bezkrytycznie przyjąć powszechnego punktu widzenia; każda wiara jest zawsze czymś osobistym. Na obronę Tomasza i Tomaszów można powiedzieć, że „im głębiej ktoś wątpi, tym głębiej się nawraca ,bo nawrócenie jest naturalną konsekwencją wątpienia" (Lacroix). Można też dodać, że „niewiara" Tomasza więcej przysporzyła Kościołowi wierzących, niż wiara pozostałych apostołów. I choć Tomasz nie został zganiony, to jednak padły ważkie słowa: „Błogosławieni, którzy nie widzą a jednak wierzą".

Wiara, wiedza, wątpienie, nawrócenie. Najlepiej te sprawy przemyśleć w związku z apostołem Tomaszem i Chrystusowym Zmartwychwstaniem. Nikt nikogo nie gromił i nikomu nie wymyślał. Nie czytamy też o zgorszeniu Piotra, Jana czy

innych apostołów, postawą Tomasza. Są błogosławieni ci, którzy nie widzą a jednak wierzą, choć nie czytamy o potępieniu tych, którzy nie mogą zdobyć się na wiarę, z tej racji, że nie widzą. Przynajmniej nie czytamy na tym miejscu, w kontekście, który jest najodpowiedniejszy dla ujęcia wszystkich konsekwencji, płynących z różnych postaw.

Jeśli wiara jest ostatecznie łaską, to możemy do niej dojść bądź przez uczciwe poznanie, bądź przez zaufanie świadkom Chrystusowego objawienia. Są na pewno i inne możliwości, choć pełna prawda jest umiejscowiona pośrodku a nie na skraju. Lekcja wątpienia, którą dał nam Tomasz i lekcja odpowiedzi, którą otrzymał, uczą nas o prawdzie dochodzenia do Zmartwychwstałego Pana, do Boga różnymi drogami poprzez wiarę i poprzez wiedzę, nie w znaczeniu przeciwstawnych, ale w znaczeniu różnych doświadczeń.

Prośmy, aby na końcu naszych poszukiwań stało znalezienie prawdy i Tomaszowe wyznanie: „Pan mój i Bóg mój". Wtedy koniec uwieńczy i uświęci dzieło naszego życia.

---

dokończenie ze str. 13

obok ostrej krytyki dogmatów i dziejowej roli chrześcijaństwa, wysunął postulat duchowej wolności człowieka, oraz odpowiedzialności za życie i za los innych ludzi. Wielu jego przedstawicieli wyznawało radosny optymizm i wiarę w postęp świata. Królestwo Boże upatrywali w immanentnej, doskonałej ludzkiej społeczności na ziemi. Na gruncie amerykańskim, pod wpływem sprzyjających warunków ekonomicznych, jeszcze dziś przejawia się radosny optymizm tzw. „socjalgospel". Zamiast starego „gentlemana", rodzi się tam nowy „common-man". Na gruncie europejskim, po wstrząsach obu wojen światowych i w obliczu powszechnej zagłady grożącej ze strony broni masowego zniszczenia, optymizm ten stracił wiele na sile. Tylko młodszą generację urzeka jeszcze „nowa magia" techniki i wynalazków. Gotowa ona starą wiarę wymienić na nowe dogmaty nauki, a zamiast kapłanów słuchać inżynierów i techników.

Obok niebywałego optymizmu naukę Teilharda cechuje głęboki humanizm. W jego systemacie jest miejsce dla wszystkich Kościołów i dla wszystkich ludzi bez względu na przekonanie religijne i polityczne. W pojęciu Teilharda ludzkość nie jest piramidą zbudowaną z kast, stanów, klas i ras. Dzieje świata, to olbrzymia platforma, na której odbywa się proces twórczej produkcji, wysiłków i dalekosiężnych zamierzeń urzeczywistnienia lepszej ludzkiej społeczności. W procesie tym wszystko podlega „amoryzacji", umiłowaniu dobra, miłości wszystkich ku wszystkim.

Nie, dla ojca jezuity Teilharda de Chardin nie ma miejsca w Kościele rzymskim!

---

dokończesie ze str. 7

wspaniały barwny dywan. Burmistrz zapala znicz wolności, a chór kościelny — jakże wzruszające — śpiewa po polsku „Jeszcze Polska nie zginęła" oraz hymn holenderski. U p. Oggela, przewodniczącego Towarzystwa „Axel-Polonia", który pokazywał mi z dumą i radością owe „polonica", długo w nocy oglądałem albumy z fotografiami z całego 20-lecia, począwszy od dni walk, a skończywszy na uroczystościach jubileuszowych XX rocznicy wyzwolenia, na które zjechało się wielu Polaków.

Pamięć mieszkańców Axel o wydarzeniach sprzed lat dwudziestu trwa. Wyrazem tego jest fakt, że w najbliższym czasie cztery ulice w nowej dzielnicy miasteczka nosić będą nazwiska wybitnych Polaków. Odpowiednia decyzja rady miejskiej już została powzięta.

Szczególnym dla mnie momentem był udział w nabożeństwach w zborach reformowanych, w czasie których przekazałem pozdrowienia mieszkańcom Axel. Pobyt w tym miasteczku zachowuję w miłej pamięci.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

DATA NABOŻEŃSTWA	PARAFIA EWANGELICKO-REFORMOWANA W WARSZAWIE	PARAFIA EWANGELICKO-AUGSB. ŚW. TRÓJCY
9.5.64 Niedziela Jubilate	Nabożeństwo z Wieczerzą Pańską o godz. 10 — ks. J. NIEWIECZERZAŁ — ks. P. BOURGUET (Nabożeństwo z udziałem przedstawicieli Europejskiego Zarządu Kościołów Reformowanych)	godz. 10 — spowiedź godz. 10,30 — naboż. z Kom. św. — ks. R. TRENKLER
16.5.65 Niedziela Cantate	Nabożeństwo o godz. 11 — ks. BOGDAN TRANDA	godz. 10 — spowiedź godz. 10,30 — naboż. z Kom. św. — ks. WŁ. NAST
23.5.65 Niedziela Rogate	Nabożeństwo o godz. 11 — ks. J. NIEWIECZERZAŁ	godz. 10 — spowiedź godz. 10,30 — naboż. z Kom. św. — ks. R. TRENKLER
27.5.65 Wniebowstąpienie Pańskie	Nabożeństwo o godz. 18 — ks. BOGDAN TRANDA	Nabożeństwo o godz. 18 — ks. WŁ. NAST
30.5.65 Niedziela	Nabożeństwo o godz. 11 — ks. BOGDAN TRANDA	godz. 10 — spowiedź godz. 10,30 — naboż. z Kom. św. — ks. R. TRENKLER

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL, REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83. REDAGUJE KOLEGIUM: Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał. Z-cy Red. Nacz.: Ks. Ryszard Trenkler, Ks. Bogdan Tranda. PRENUMERATA: rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł, numer pojedynczy 4 zł. Konto PKO Warszawa — 153-7-905-005. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła.

Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, Smolna 12. Nakł. 2000. Obj. 2 ark. druk. Zam. 575. E-24.